

Delphine de Vigan
WDZIĘCZNOŚĆ

fragment

Z języka francuskiego przełożyła
Krystyna Szeżyńska-Maćkowiak



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

„Śmiejemy się, pijemy. W nas trwają zranieni,
Udręczeni; winniśmy im pamięć i życie.
Bo żyć to wiedzieć, że życie w każdej chwili jest złotym promieniem
Na morzu ciemności, to umieć mówić dziękuję”.

FRANÇOIS CHENG, *ENFIN LE ROYAUME*
(Nareszcie królestwo)

„Dokąd idą słowa
Te odporne
Te zrezygnowane
Te perswadujące
I te zatruwające? [...]
Dokąd idą słowa
Te, które nas tworzą i zmieniają
Te, które ratują
Gdy wszystko ucieka?”

LA GRANDE SOPHIE

Marie

Czy zastanawialiście się kiedyś, ile razy dziennie mówicie *dziękuję*? Dziękuję za podanie soli, za przytrzymanie drzwi, za informację.

Dziękuję za wydanie reszty, za bagietkę, za paczkę papierosów.

Grzecznościowe *dziękuję*, konwenans społeczny, słowo wypowiedziane odruchowo, automatycznie. Niemal puste.

Czasem pomijane.

Niekiedy przesadnie podkreślane: Dziękuję ci. Dziękuję za wszystko. Serdecznie dziękuję.

Wielkie dzięki.

Dziękuję profesjonalne: Dziękuję za odpowiedź, dziękuję za uwagę, dziękuję za współpracę.

Czy zastanawialiście się kiedyś, ile razy w życiu naprawdę powiedzieliście *dziękuję*? Prawdziwe dziękuję. Wyraz wdzięczności, uznania, zobowiązania.

Komu?

Nauczycielowi, który wprowadził was w świat książek?
Młodemu mężczyźnie, który interweniował tego dnia, gdy

napadnięto was na ulicy? Lekarzowi, który uratował wam życie?

Samemu życiu?

Dziś zmarła starsza pani, którą lubiłam.

Często mówiła: „Tak wiele jej zawdzięczam”. Albo: „Gdyby nie ona, być może już by mnie tu nie było”.

A ja mówiłam: „Ona dużo dla mnie znaczy”.

Znaczyć, zawdzięczać: czy tak właśnie mierzy się wdzięczność?

Ale czy wystarczająco jej podziękowałam? Czy okazałam jej wdzięczność tak, jak powinnam?

Czy byłam wystarczająco bliska, wystarczająco obecna, wystarczająco wytrwała?

Myślę więc o ostatnich miesiącach, o ostatnich godzinach.

O naszych rozmowach, naszych uśmiechach i o milczeniu.

Przypominam sobie spędzone razem chwile. Inne umknęły. I wymyślają te, które przegapiłam.

Próbuję odnaleźć ten dzień, w którym zrozumiałam, że coś się załamało i że odtąd nasz czas jest policzony.

To przyszło nagle. Z dnia na dzień.

 Nie twierdzę, że nie było żadnych sygnałów zwiastujących. Czasami Michka zatrzymywała się na środku salonu. Zupełnie zdezorientowana, tak jakby nie wiedziała już, od czego zacząć, jakby tak często powtarzany rytuał po prostu jej się pomieszał. Kiedy indziej przerywała w pół zdania i w dosłownym tego słowa znaczeniu odbijała się od czegoś niewidzialnego. Szukała jednego słowa, a trafiała na inne. Albo nie trafiała na nic, tylko na pustkę, tę zasadzkę, którą trzeba było ominąć. Przez cały ten czas jednak mieszkała samotnie u siebie. Niezależna. I nadal czytała, oglądała telewizję, przyjmowała nielicznych gości.

 A potem nadszedł ten jesienny dzień, którego nic nie zapowiadało.

 Przedtem sobie radziła. Potem już nie.

 Wyobrażam ją sobie w tym niskim mieszkaniu, jest sama, siedzi w fotelu. Za nią story są zaciągnięte, ale przez tkaninę widać światło i można się domyślać, że jest popołudnie. Farba na ścianach trochę pożółkła. Meble, obrazy,

bibeloty na etażerkach – wszystko wokół niej pochodzi z dawnych czasów.

Ma na imię Michka. To stara kobieta o wyglądzie młodej dziewczyny. Albo młoda dziewczyna, która zestarzała się przez nieuwagę, ofiara złego losu. Jej długie, guzowate dłonie kurczowo trzymają się oparcia fotela, jakby bała się stracić równowagę.

Nagle kilka piknięć rozrywa ciszę. Michka wygląda na zdziwioną, szuka koło siebie, wpatruje się w bransoletkę, którą nosi na nadgarstku, jakby dźwięki mogły wydobywać się z tego dziwnego i brzydkiego przedmiotu, do którego noszenia w końcu dała się przekonać.

A potem w pokoju rozbrzmiewa głos operatorki teleopieki.

– Dzień dobry, pani Seld, mówi Muriel z teleopieki. Wcisnęła pani alarm?

– Tak...

– Przewróciła się pani?

– Nie, nie.

– Źle się pani poczuła?

– Trochę.

– Mogłaby pani powiedzieć mi coś dokładniejszego?

– Boję się.

– Czy może mi pani powiedzieć, gdzie pani teraz jest, pani Seld?

- W salonie.
- Zraniła się pani?
- Nie, ale... Ja właśnie tracę...
- Coś pani straciła?

Michka mocniej chwyciła się oparcia, wydawało jej się, że fotel kołysze się pod jej ciężarem, ale może to podłoga się poruszała. Nie udzieliła odpowiedzi.

- Czy pani siedzi?
- Tak, siedzę w fotelu. Ale nie mogę się ruszyć.
- Nie może pani wstać?
- Nie.
- Od jak dawna siedzi pani w tym fotelu, pani Seld?
- Nie wiem, chyba od rana. Po śniadaniu jak co sień usiadłam, żeby rozwiązywać krzyżówki. Ale niczego nie rozwiązałam. No a potem ja... ja chciałam... Nie mogłam się podnieść... Tracę wszystko, to dlatego.
- Ale co pani straciła, pani Seld?
- Tego nie widać. Ale ja czuję. To się wytyka... To się wymyka.
- Czy może pani poruszać nogami, pani Seld?
- Nie, nie, już nie mogę. Skończyło się. Ja się boję.
- Naprawdę nie może się pani podnieść?
- Nie mogę.
- Jadła pani dziś obiad?
- Nie bardzo.
- Czyli od rana siedzi pani w fotelu i nie rusza się pani?

– Właśnie. Tak.

– Zadzwoń do jednej z bliskich osób, których listę nam pani podała, zgadza się pani?

– Tak.

Jestem pewna, że Michka słyszała, jak palce operatorki błyskawicznie poruszają się po klawiaturze.

– Mam tu nazwisko Marie Chapier. Zadzwoń do niej?

– Sama nie wiem...

– To pani córka?

– Nie.

– Życzy pani sobie, żebym ją powiadomiła?

– Tak, proszę. Proszę jej powiedzieć, że nie chciałam jej... przekraczać, ale to dlatego, że coś teraz tracę, coś ważnego.

Melodyjka zastąpiła głos operatorki. Michka nie ruszała się, patrzyła prosto przed siebie, trwając w pełnym skupieniu wyczekiwaniu, które tak dobrze znam. Po kilku chwilach znów rozległ się głos operatorki:

– Pani Seld, jest tam pani?

– Tak.

– Marie już do pani idzie. Powiedziała, że będzie za dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut. Wezwie też lekarza.

– Szkoda.

Powiedziała „szkoda” dokładnie takim tonem, jakim mówi się „zgoda”.

– Dlaczego szkoda?

– Tak, szkoda.

– Pani Seld, jestem w pobliżu. Zajmę się teraz pracą, ale gdyby poczuła się pani źle, proszę jeszcze raz wcisnąć guzik na bransoletce, a będę znów na linii, zgoda?

– Tak, szkoda. Dziękuję.

Michka nadal siedziała z rękami na oparciach fotela. Próbowwała spokojnie oddychać.

Przymknęła oczy.

Po chwili usłyszała głos małej dziewczynki.

Czy będę u Ciebie spała? Zostawisz światło? Zostaniesz tu? Możesz zostawić otwarte drzwi? Zostaniesz tu przy mnie?

Uśmiechnęła się. Głos małej dziewczynki był wspomnieniem miłym, ale zarazem bolesnym.

Możemy zjeść razem śniadanie – ty i ja? A czy ty się boisz? Wiesz, gdzie jest moja szkoła? Nie gaś, dobrze? Odprawisz mnie, jeżeli mama nie będzie mogła?

Wcisnęłam dzwonek i nie czekając, wsunęłam klucz do zamka.

Weszłam do pokoju i znalazłam ją tam, kurczowo trzymającą się fotela, jakby porwał go szybki nurt.

Podeszłam i ją pocałowałam. Poczułam słodki zapach lakieru do włosów, który do dziś zachował moc rozbudzenia we mnie wspomnień.

– No co tam, Michka, co się stało?

– Nie wiem. Boję się.

– Pomogę ci wstać, zgoda?

– Nie, nie, nie.

– Michka... przecież byłam u ciebie trzy dni temu i świetnie radziłaś sobie z chodzeniem o lasce. Jestem pewna, że dasz radę wstać.

Objęłam ją ramionami, żeby pomóc jej stanąć. Oparła się o podłokietniki, żeby wykorzystać siłę rąk. I stanęła na nogi, co wyraźnie ją zdziwiło. Trochę się chwiała, ale udało jej się utrzymać tę pozycję.

– No widzisz...

– Opowiadałam ci, jak upadłam w salonie?

– Tak, Michka, opowiadałaś.

– Krową do przodu!

Podaliśmy jej laskę, a potem podeszłam z drugiej strony, żeby mogła wziąć mnie pod rękę.

– No, ruszamy!

– Ale ostrożnie...

– Pewnie umierasz z głodu...

Poszliśmy w stronę kuchni. Trzymała się mnie i przemieszczała drobnym krokiem. Czułam, że stopniowo nabiera pewności siebie.

– To nie takie najgorsze...

Jednak od tego dnia Michka nie mogła już mieszkać sama.